

Jean-Pierre Richard, Poezja i głębia

Nerval, Baudelaire, Verlaine, Rimbaud – wszyscy oni stawiają swojej poezji najwyższy cel, dotknięcie bytu, i wszyscy zostają przez poezję zdradzeni. Każdy z nich-przeczuwa Prawdę inaczej i w inny sposób stara się do niej zbliżyć.

B

TADEUSZ DĄBROWSKI

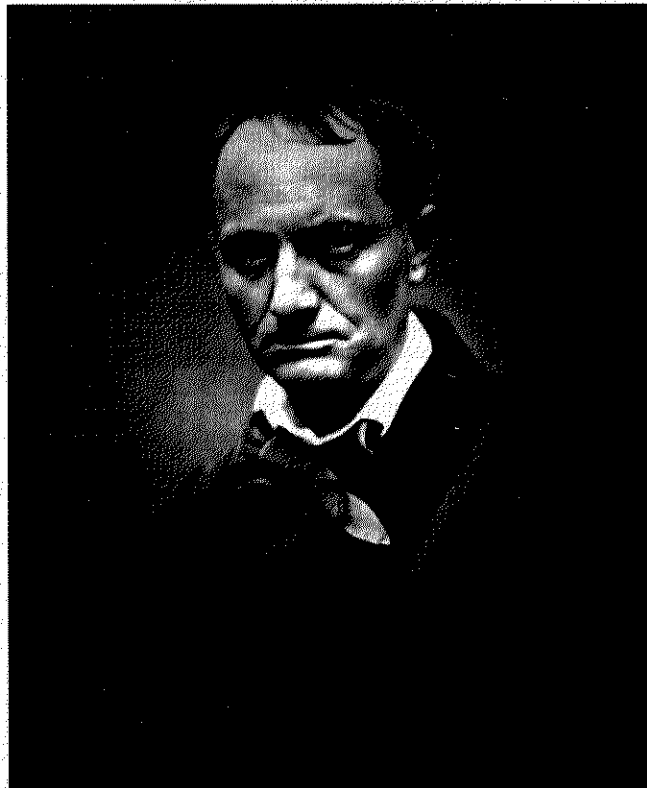
Być poetą to opanować sztukę skupiania i rozpraszania własnego „ja” w soczewce języka – tak sparafrazowałbym jedną z głównych tez książki „Poezja i głębia” Jeana-Pierre’a Richarda, wybitnego przedstawiciela szkoły genezy, właściwie nieznanego polskiemu czytelnikowi.

Rozproszone „ja” pragnie skupienia, błąga o tożsamość, scalone – brzydki się swoim ciężarem, nudzi kolistością, która każe toczyć się gładko po powierzchni świata. Znow wola o uczestnictwo, dąży do rozpadu, chce słońca, wody, gleby, zatracenia w materii. Szczęście znajduje tylko w ruchu, w zmartwychwstaniu i procesie rozkładu, w przestrzeni między nicością a bytem. Tę przestrzeń nazywa Richard głębią i nie stara się jej definiować. Byłoby to zresztą absurdalne, skoro nie wiemy, czym jest byt. Dzięki tej niewiedzy poezja ma sens – to druga lekcja francuskiego krytyka, nie tak oczywista dla mieszkańców ponowoczesności.

W perspektywie głębi Richard czyta Nerval, Baudelaire’a, Verlaine’a i Rimbauda, tropi typowe dla nich motywy, obrazy, słowa-klucze, a czyni to bez wstępnych założeń, godzi się być sługą cudzych narracji, które kształtują i ożywają jego krytyczny idiom, użyczają mu swojej aury. „Idea nie była dla mnie tak istotna jak obsesja, marzenie zepchnęło na plan dalszy teorię” – wyznaje autor we wstępie, narażając się zarówno Derridzie, jak i kolegom z kręgu krytyki tematycznej, którzy twierdzili, że taka lektura – będąca bardziej egzegezą symboli niż analizą struktur językowych – grozi absolutnym oderwaniem od tekstu wyjściowego, krytycznoliteracką sztuką dla sztuki. Richard – pilny uczeń Gastona Bachelarda – był konsekwentny; pracę badawczą utożsamiał z bezinteresownym czytaniem, a twórczość literacką postrzegał jako „doświadczenie czy nawet praktykowanie siebie”. Można podejrzewać, że z równą powagą traktował Richard działalność krytyczną – pisarstwo pełnoprawne, bo uznające swój przedmiot, dzieło literackie, za fakt egzystencjalny.

Dlaczego interesuje go akurat ta czwórka modernistycznych poetów? Dlatego że wszyscy oni stawiają swojej poezji najwyższy cel – dotknięcie bytu, i wszyscy zostają przez poezję zdradzeni. Ale i dlatego że każdy z nich przeczuwa Prawdę inaczej i w inny sposób stara się do niej zbliżyć. Wraz z Nervałem kontempluje Richard architekturę miasta i kobiecego ciała; autor „Podróży na Wschód” marzy, by zerwać zasłonę odgradzającą go od rzeczywistości, nie tej subiektywnej i zmysłowej, ale obiektywnej i niezmiennej. Zasłona w postaci materii jest dla niego „namacalną konsekwencją grzechu”. Zarazem jednak bariera ta

Lekcja czytania



Charles Baudelaire

zdaje się byt gwarantować, innymi słowy: niedostępność *sacrum* jest źródłem wiary w jego istnienie – sugeruje Nerval czytany przez Richarda. Namiastkę pełni odkrywa poeta w synkretyzmie (całe frazy wędrują u niego z utworu do utworu), w błędzeniu, w figurze labiryntu, będącej metaforą literatury. „Ostatecznym celem podróży po labiryncie nie jest nic innego jak tylko ów stan płomiennego otwarcia, na nowo rozpalonej młodości” – pisze Richard. Lecz czy otwarcie wykreowane przez poetę, wpisane w ideę labiryntu, jest tym samym co widzenie „twarzą w twarz”?

Olśnił mnie szkic o Baudelaire, pewnie i z tego powodu, że Baudelaire’owski szacunek dla rozumu dyscyplinującego wyobraźnię, a zarazem bezsilnego wobec swoich poznawczych ograniczeń, jest mi bardzo bliski. Z jednej strony wierzy poeta, że „aby dotrzeć do siebie, pokonać własną otchłani, wystarczy być w najwyższym stopniu i metodycznie rozumnym”, z drugiej zaś czuje, „jakby w miarę poddawania rzeczy rozumowemu wyjaśnieniu coś je drażyło, jakby traciły na wadze i gęstości”. Tajemnica nie ma dna, niby odkryta, odsłania kolejne otchłanie, bo „podejrzewamy zawsze istnienie dziewczicości bardziej dziewiczej, początku jeszcze bardziej pierwotnego”, tak że „cały wysiłek skierowany ku sercu bytu staje się tęsknotą”. U Nerval’a byt zasłaniał się przed umysłem albo to umysł go zasła-

niał, zniekształcał, fałszował jak brudna lupa. U Baudelaire’a racjonalne poznanie rozrzedza byt, myśl rozpuszcza Prawdę. Skazany na rozum tropiciel zasady świata musiał się spalić w „czarnym słońcu” oksymoronu.

Verlaine – którego od początku irytowała sztuczność literackiego gestu, który walcząc z egotycznym „ja” i żalując za swą zakłamaną młodość, znajduje wreszcie oparcie w Bogu – budzi w krytyku chłodniejsze emocje. Można wyczuć żal, pretensję do poety o to, że zaprzędał się doktrynie, pogrążył w wielosłowniu, jakby – ciekawy paradoks – za egotyzm uważał Richard właśnie rezygnację z twórczego niepokoju, ze zmysłowości, z dekadentkich młodości na rzecz mdłego moralizatorstwa.

Punktem dojścia rozważań Richarda jest Rimbaud. Teraz dopiero widzimy, jak logiczną opowieść tworzą te cztery szkice. Nerval zwracał się ku przeszłości i powtórzeniu, Rimbaud to geniusz, demiurg, który oczekuje od słów, by projektowały przyszłość: „Poezja nie będzie już ryt-mizowała działania; będzie wy p r z e d z a ł a” – stwierdza stanowczo w „Ja to ktoś inny”. Nie tyle chce dotrzeć do bytu, co samemu go stworzyć. Nie zamierza zstępować do głębi, bo odnajduje ją na powierzchni, jego wiersze to „cienkie błony, których nie da się przebić, gdyż niczego za nimi nie ma, żadnej głębi, otchłani, bytu, nicości, boga czy nieskończoności”.

Jest poetą pęczniącego i mrowiącego się życia, witalności, płodności, bezustannej ewolucji form. Cieleśność świata – oto byt. Przypomina się Schulz i – nieoczekiwanie – Różewicz, który zachnąłby się słysząc, że zestawia się go z francuskim parnasistą. A jednak zarówno Rimbaud, jak i Różewicz są teoretykami i praktykami poezji przedmiotowej, która jest projektem tyleż ambitnym, co ryzykownym, zakłada bowiem zamach na głębię i poetyckość, takie jakimi dotąd je pojmowano, w imię ich rekonstrukcji w przyszłości. Wsłuchajmy się jeszcze w to, co pisze Richard o Rimbaudzie: „Po raz pierwszy rzeczy ukazują się nam zupełnie nagie, w blasku swej ciszy: stają się w pełni dowodami winy. Jeśli w świecie tym narodzić się ma harmonia, to musi ona powstać z samych przedmiotów, a nie z jakiegoś stanu duszy”.

„Poezja i głębia”, mimo że z założenia antymetodologiczna, nie jest książką w powszechnym rozumieniu tego słowa przystępną. Wymaga skupienia i cierpliwości, bo Jean-Pierre Richard przygląda się tekstom poetyckim z perspektywy skrzydlatego owada; to spaceruje między wersami, to znow zawisa nad książką, by szukać raczej barwnych plam niż ostrych konturów. Jego widzenie nie musi być zbieżne z naszym. Autor zdaje sobie z tego sprawę, podkreśla zresztą we wstępie, że „każda lektura jest zawsze tylko jedną z możliwych dróg – inne wciąż pozostają otwarte”.

Nie przepadam za psychologizycznym czytaniem literatury, Richard proponuje nam jednak coś innego – lekturę antropologiczną, ogniskującą się na tym, co wylania się ze wspólnej nam wszystkim przestrzeni mitu, z przedświatowego uniwersum. Świetnie, że książka ukazuje się na polskim rynku z takim opóźnieniem. Dziś potrzebna jest – jako pewien gest, nie jako ostateczna wykładnia – bardziej niż przed półwieczem, bo jak słusznie zauważa Tomasz Swoboda, autor doskonałego przekładu: „po epoce tekstualnego zamknięcia wracamy oto do autora i jego wyobraźni, unikając wszakże biograficznych uproszczeń sprzed ery strukturalizmu”.

Utrzymana w bachelardowskim duchu opowieść Richarda jest świadectwem wiary w głęboki związek poezji i zmysłowej rzeczywistości, wyrazem przekonania, że droga do bytu (jakkolwiek by go rozumieć) wiedzie przez materię. Że nie sposób być poetą, nie kochając świata. Że nie można pragnąć wieczności, nie pozostając tego, co doczesne. ■

Jean-Pierre Richard, *Poezja i głębia* przeł. Tomasz Swoboda, Gdańsk 2009, słowo / obraz terytoria